

## Dziewiętnasty

Ledwie wysiadł z tramwaju, podmuch wiatru z deszczem zagnał go na chodnik pod kwitnące lipy. Ściekały z nich drobne krople słodkiej wody. Kiedy lipy kwitną, całe pokrywają się miodem, nawet na powierzchni liści. Miód i kurz, tak smakuje życie w tym mieście. Podciągnął suwak skórzanej kurtki pod samą brodę. Okrycie było już stare, mocno wyświecone na bokach, łokciach i wokół kieszeni. Od dawna nie odpoczywało w żadnej przytulnej szafie. Mieli w rodzinie zasadę, do której jego ojciec, bracia i on sam – chyba podświadomie – stosowali się przez całe życie: gdy nadchodzą złe czasy, spraw sobie porządną kurtkę, najlepiej skórzaną. Coś, co ochroni cię od deszczu i wiatru. Pociągnął nosem, wzruszony wspomnieniem matczynego głosu. I szedł dalej w strugach słodkogorzkiego deszczu, a w duchu powtarzał sobie, że dobrze byłoby już zdjąć tę skórzaną kurtkę i wtulić się w miękką flanelę.

Skręcił w ulicę Zborovską. Tu mieszkam. Naprzeciwko bramy sklep z piwem, tak zwana beczkownia. Faceci z butelkami w dłoniach stoją przy ścianie pod daszkiem: kapie im na czubki nosów i butów, ale zapalone papierosy pozostają suche – mężczyźni osłaniają je przed deszczem.

Przecisnął się do środka i kupił trzy butelki mocnego piwa Czerwony Smok. Jeszcze nigdy go nie pił, ale już naprawdę nie wiedział, jak inaczej mógłby zagłuszyć tę samotność w mieszkaniu na poddaszu. Co za głupota, pomyślał z niesmakiem i chwycił butelki, w unoszącym się wokół zapachu wilgoci i męskiego potu, zaczął prędko wycofywać się na ulicę. Ulewa pokrywała asfalt tysiącami wodnych banieczek.

Własnym kluczem otworzył bramę domu, którego za własny nie uznawał nawet po roku mieszkania. Tylko klucz należał do niego. Najważniejsze to nie zgubić kluczy. Klatka schodowa była czysta, schludna i szara jak cnotliwe mieszczańskie życie. Zaczął wdrapywać się na górę, aż na piąte piętro. Byle tylko nie spotkać kogoś z sąsiadów. Nic im nigdy nie zrobił, ale nie lubili go. Od dzieciństwa nie mógł się pozbyć tego wrażenia. Lubią mnie raczej ci, którym coś zrobiłem. Spotkasz sąsiada, bliźniego, a on w podwodnym świetle korytarza będzie na ciebie patrzył złym okiem, choćbyś nie wiadomo jak grzecznie i serdecznie go pozdrowił. Albo jeśli zza drzwi usłyszysz twoje kroki na schodach, nie otworzy, tylko stanie jak kołek i – już ubrany, z kluczami i parasolem w ręce – będzie tam za nimi wściekle sapał, czekając, aż przejdiesz. A sap sobie, sap, capie, myślał, pokonując kolejne piętra i czując na sobie spojrzenia złych oczu wizjerów. Dotarł na poddasze do swoich drzwi, które nie były wyważone, i wszedł do pokoju, który nie został okradziony. Przynajmniej tyle,

odetchnął z ulgą, jak za każdym razem. Dzień dobry, powiedział na głos, po czym powiesił kurtkę na gwoździu, otworzył jednego Czerwonego Smoka i usiadł na łóżku.

I to wszystko? W lusterku, które zostawił na biurku po porannym goleniu, zatrzymało się odbicie jego twarzy – miała zmęczony i trochę dziki wyraz. Oczy były jakby dalej od siebie niż przedtem. To przez ten komputer, niedługo będę wyglądał jak koń albo osioł. Piękna historia: człowiek, który tak długo gapił się w monitor, aż stał się osłem, i to tym przysłowiowym, co to nie wie, czy ma jeść z prawego, czy lewego żłobu, i dlatego wkrótce zdechnie z głodu, ale na razie tylko bezradnie obserwuje, jak oczy coraz bardziej uciekają mu na boki.

Siedzieć przed komputerem i produkować setki stron bezsensownych przekładów bezsensownych tekstów, żeby zarobić na opłaty, rachunki, czynsz i na dzieci, które są teraz... czort wie gdzie.

Jak na bimber Czerwony Smok był słaby, ale jak na piwo miał swoją moc. Znów popatrzył w lustro. Właściwie mógłby to być obraz, tylko na pustym łóżku za nim przydałaby się jeszcze jakaś naga kobieta: leżałaby w niedbałej pozie, z piętą opartą o kolano, i przeciągałaby się leniwie po niedawnych miłosnych igraszkach. A on, jak na prawdziwego egzystencjalistę przystało, zmrużyłby swoje osłe oczy i zapytał: To wszystko? Ona by wstała, ubrała się i wyszła bez słowa, a jego zupełnie by to nie ruszyło. Tak naprawdę wolałby mieć tu dzieci. Widywał ■

się z nimi w różnych miejscach, ale nie miał ich dokąd zabrać na dłużej. Do tej nory? Może kiedyś. Może nawet na noc... Tylko że bez łazienki i łóżka? Przygoda, jeśli trwa za długo, łatwo staje się męką.

Przestało padać. Z atramentowych chmur nad dachami warsztatów i magazynów zaczęły wysnuwać się barwy zmierzchu. Takie widoki były największym atutem ulicy Zborovskiej. *Kiedy zmierzch się skłoni nad zborowskim błoniem...* tak mniej więcej śpiewał kiedyś pewien przyjaciel ojca, a zarazem jego pacjent. Stracił nogę, ale nie w okopach, tylko całkiem zwyczajnie, pod kołami pociągu. Był z niego kawał szajbusa, taki wesoły typ. Pracował jako strażnik na kolei. W miejscu rany, przechodzącej przez śródstopie i rozciągającej się od wielkiego palca aż do pięty, przeszczepiono mu skórę z brzucha, jednak tkanka pod przeszczepem zaczęła ropyć i już nigdy nie przestała, chociaż lekarze próbowali wszystkiego: lapisu, maści, tynktury. W końcu zrakowaciała i wpędziła go do grobu. Miał wtedy sześćdziesiąt siedem lat. Można powiedzieć, że i tak długo się trzymał. Któregoś razu, po tym jak wyczyścili i opatrzyli mu ranę, a on wcisnął zabandażowaną stopę do monstrialnego buta, przypominającego nogę słońca, wyciągnął ze służbowej torby butelkę czegoś, co sam nazywał „kroplami na fikołki”: zaczęli popijać, a gdy tak popijali, wkrótce zebrało im się na wspomnienia. Dzieciństwo, wojna, kołędowanie, pieśni Karla Hašlera... Przyjaciel ojca ze łzami w oczach śpiewał, jak to *stoją wszędy krzyży blade*

*rzędy, strzegąc białej luny blasku...* To był chyba jedyny raz, kiedy w ich rodzinie otwarcie piło się śliwovicę i śpiewało świeckie pieśni... *Nie wróćcie już do domu. Wy już nigdy nie wróćcie! Nigdy więcej nie ujrzycie ziemi swej...* Otóż to, westchnął mężczyzna na łóżku, zostaniecie na Zborovskiej na zawsze.

Wspomnienia z pamiętnej biesiady z byłym kolejarzem przyniosły ulgę jego sercu, nadal nieprzywykłemu do samotności. Powtarzał sobie, że samotność to jedyne, czego mu trzeba po całym tym piekle, jakie ludzie tacy jak on potrafią sobie urządzić z samej tylko miłości. Ale, jak powiada Pismo, nie jest dobrze, aby mężczyzna był sam. Gdyby tak siedzieć sobie teraz gdzieś na boczniczy z jakąś dróżniczką i racząc się w środku nocnej zmiany kroplami na fikołki, zawodzić rzewne pieśni o tym, że już nigdy, nigdy nie wrócimy – czy nie byłoby miło? Parsknął śmiechem. Śmiał się i czekał – jak osioł popijający Czerwonego Smoka.

Obudziło go uderzenie w okno. Ktoś rzucił kamieniem albo cegłą, potem znowu i jeszcze raz, aż w końcu w szybie zrobiła się rana, z której pociekło szkło. Otworzył oczy. Jego okno było białe i nietknięte. Słyszał tylko dobiegający z oddali chrzęst, jakby ktoś stąpał po odłamkach. Wyrzwał na ulicę i wnet zrozumiał. Rozbita szyba w witrynie sklepu z komputerami, tego jakiegoś ...COM po drugiej stronie skrzyżowania. Przez najeżony ostrymi kawałkami otwór przełazi facet z komputerem w rękach,

za nim drugi z monitorem, a trzeci właśnie wraca zza rogu, gdzie pewnie czeka auto.

Skurwysyny, syknął wściekle, po czym zaczął szukać w kieszeni telefonu komórkowego. Niech to szlag, bateria padła, zapomniałem jej naładować. Otworzył okno i tak jak stał, ze spodniami założonymi tylko na jedną nogę, zaczął wrzeszczeć w kierunku złodziei, ale byli za daleko, żeby móc go usłyszeć. Zanim dobiegnę, już ich nie będzie. Wszystko bez sensu. Dysząc ze złości, przyglądał się, jak trzech kumple ponownie przechodzą przez rozbitą witrynę, zgięci pod ciężarem łupu. A potem już tylko trzaśnięcie drzwi samochodu i gaz do dechy. Szyba wyglądała trochę jak rozkwaszona gęba. Czuł, że nie usiedzi dłużej w pokoju. Naciągnął drugą nogawkę i chwycił bluzę.

Kiedy wyszedł na ulicę, uświadomił sobie, jak ciche i chłodne jest o tej porze miasto. Teraz, na początku lata, na początku dnia. Jak pięknie jest o tej godzinie przed świtem, gdy ptaki jeszcze nie śpiewają, a kolory dopiero wysnuwają się z bladego światła. Odezwiał się dźwięk syreny policyjnej. Przyjechaliście, brawo. Szkoda, że za późno. W oddali widział nadjeżdżający radiowóz i wychylających się z okien obudzonych lokatorów. Nagle odechciało mu się uczestniczyć w całej tej farsie. Co wam będę mówił, idźcie do diabła. Przez chwilę myślał jeszcze o trójce cwaniaczków, która pewnie pędzi teraz przez uśpione miasto do jakiegoś całodobowego lombardu. Wszyscyście siebie warci. A zresztą, kto ja jestem, żeby wam cokolwiek

mówić? Kto ja jestem? Takiego pytania nie zadaje się o czwartej rano. W każdym razie nie odpowiada się na nie.

Zaszedł do nocnego baru, siadł przy stoliku pod dużym, jak dotąd niewybitym oknem i zamówił piwo. Dopiero wtedy się rozejrzył. Bar był brudny i pełen złotawego światła, firanki powiewały od podmuchów powietrza, a piana na piwie, które niemal natychmiast przyniosła mu niewiarygodnie gruba kelnerka, jakby poróżowiła w nagłym rozbłysku poranka. prostytutki, paserzy i taksówkarze kończą tu zmianę – i nikt nie wie, co dalej.

Oprócz zmęczonych kobiet i ich zobojętniałych patronów w knajpie był też automat telefoniczny. Widok działającego aparatu przygnębiał go jeszcze bardziej niż cały ten biznes dokoła. Miał kartę, ale... wszystko bez sensu. Ile godzin w ostatnich miesiącach spędził uwieszony na publicznych telefonach, ile wyrzutów i żali popłynęło przez poskręcane kable – a na końcu zawsze i tak jest tylko cisza, cisza, do której nie wsuniesz swojej karty. Zapalił papierosa i od stóp do głów zanurzył się w gorzkim dymie pamięci.

## Pierwszy

Uważali to miejsce za swoje. Miejsce, które nie istniałoby, gdyby nie ślepe konie, faceci i maszyny w podziemiach. Góry, które nie powstałyby, gdyby nie zapoczątkowane przed wiekami górnicze dzieło, szaleństwo tej krainy. Klatki na linach wciągały do wież załadowane wózki. Żelazne otwory wypływały na lewo węgiel, na prawo odpady. Węgiel trafiał do pieców, a odpady transportowano pociągiem na hałdy wokół kopalni. Czego na dole ubywało, tego na górze było aż nadto. Zwałowiska wciąż rosły i nikt się nimi nie przejmował. Wyglądały jak piramidy, ale w odróżnieniu od nich nikogo nie upamiętniały ani nic nie symbolizowały. Usypiska nie wznoszą się ku gwiazdom ani bogom, tylko trwają niewzruszenie pośród zamętu katorżniczej pracy. Kiedy złoża się wyczerpią, kiedy w podziemiach ucichną ataki kaszlu i skończą się ludzkie dramaty, hałdy opustoszeją. Razem z torami i dźwigami będą powoli zarastać mchem, trawą, łobodą, osikami i brzoźami – wszystkim, co potrafi żyć o brudzie i kurzu. Nikt nie troszczy się o to, co zrobić z drzewkami z rzadkich lasków, do kogo należy drewno z ich pni i skrywające się pośród nich zwierzęta – uciekinierzy z zabudowanych



blokowiskami pól. Życie ledwie się tam tli. Nic nie staje na drodze niepowstrzymanej ekspansji wybujałej roślinności. Kiedyś tak będzie wyglądał cały świat. Powrócą puszcze i dzikie zwierzęta, a może nawet ludzie pierwotni, choć ich coraz mniejsze gromady będą pewnie stopniowo znikać w rozrastających się gęstwinach. Jaki byłby świat bez człowieka? pytał poeta Wozniesiński. Piękny, odpowiada mu człowiek zniszczony wyrabianiem więziennych norm w kopalni. To nie Pan Bóg stworzył kopalnie i normy, i nie On też stworzył wołu, tę nagą siłę wykastrowanego bydła, która od wieków ciągnie wóz ludzkości wyjeżdżonymi koleinami niewolnictwa.

Kiedyś to miejsce było naprawdę piękne. W czasach, gdy Martin Vrána chadzał tam z Evą Topolską na randki, przypominało bezludną wyspę. Od przystanku trolejbusu prowadziła do niego droga wśród zarośli. Martin zawsze szedł pierwszy, rozgarniał gałęzie i oglądał się do tyłu, jakby się bał, że Eva nagle zniknie. Zgubi się gdzieś w tej dziwnej krainie, którą uważali za swoją. Światło drżało na liściach osik, powoje lgnęły do pni, a on i ona – jakby z przestraczem – lgnęli do siebie. Musieli się całować, musieli się obejmować, a wszystko to na żelaznej kładce pomiędzy dwiema rurami nad czarnym potokiem. Pobrudzić Evie bluzkę, przyciskać się do niej tak mocno, by wkrótce nie wiedzieć, co tak trzaska – rurociąg pod nimi czy rurociąg w nich. A potem odsunąć się od siebie, przejść kilka kroków, zeskoczyć z betonowego słupka i znów paść sobie w objęcia,

tutaj, w środku lasu, którego nie ma na mapie – mimo że pełen jest ptasich trel i chłodnego tchnienia drzew, mimo że rosną w nim kępy pokrzyw, łopiany i brzozy, nagie jak skóra odkryta nagle pod ubraniem. I tak bez końca: Martin, choć ledwie trzyma się na nogach, nie może przestać, Eva, wymęczona pieszczotami Martina, opada na niego wciąż od nowa. Spomiędzy gałęzi bzu nad nimi wystają zardzewiałe szczątki starego dźwigu: na bębnie nawijaka zostało jeszcze kilka zwojów drucianej linki, której koniec pełza w trawie jak wąż. Na brzegu wypełnionego deszczówką bajorka kwitną wątle żółte kosańce.

## Drugi

„W ryj mu dajcie!”, odezwał się chwacki okrzyk któregoś z praktykantów, cisnących się gromadnie do autobusu na przystanku pod główną bramą Nowej Huty imienia Klementa Gottwalda. Drobnny konflikt przy wsiadaniu prędko się rozwiązał: drzwi brutalnie się zamknęły, odcinając drogę przepychającym się do wejścia oczekującym – przypominało to awarię taśmy produkcyjnej, kiedy w nadziewarce zaklinuje się kawałek kiełbasy czy salcesonu. Ale oto nadjeżdża już kolejny autobus. Wracający z rannej szychty hutnicy pakują się do środka i odjeżdżają w kierunku swoich domów.

Martinowi utkwiał w pamięci ten okrzyk i widok ciasno stłoczonych tyłków w znoszonych dżinsach, z wystającymi z tylnych kieszeni grzebykami, dowodami osobistymi i legitymacjami zakładowymi. Poczucie bezkarności, kiedy pchasz się na chama do autobusu i możesz dać w ryj komu chcesz – ot tak, dla porządku. Wiedział, co się tu święci, ileż razy słyszał to swojskie, chojrackie: W ryj mu! Co za rozkosz – kopnąć kogoś w tyłek w czasie przebieżki z sali gimnastycznej do szatni. Tak po kumpelsku, ma się rozumieć. Tylko się nie popłacz, fujaro! Rechotać na całe gardło,

a potem... Martin stoi wraz z innymi czekającymi pod dużą bramą, a na języku rozlewa mu się posmak dojmującej pustki, jak po masturbacji. Powoli, jak przystało na porządnego człowieka, wchodzi do ostatniego, pustawego autobusu, siada i kładzie torbę na kolanach. Czuje, że boli go skóra na twarzy i szyi, w miejscach, gdzie wyskoczyły mu pryszcze. Ogarnia go tęsknota, ale nawet nie wie za czym. Gdyby się nie wstydził, wyciągnąłby książkę i zaczął czytać, tyle że książka od razu rzuca się w oczy, nie to, co na przykład rubryka sportowa na ostatniej stronie dziennika „Nová svoboda”.

Nowa swoboda była czarno-żółta. Najwyraźniej w tym okresie wprowadzono jakieś zaostrzone przepisy dotyczące bezpieczeństwa, bo pracownicy służb miejskich zaczęli nagle oznaczać wszystkie przejścia, niskie stropy, pierwsze i ostatnie stopnie za pomocą żółtych i czarnych pasków. Troszczyli się o ludzi. Żeby ktoś się nie potknął albo nie uderzył. A jeśli mimo to doszło do podobnego wypadku, człowiek nie mógł winić nikogo prócz siebie, bo niebezpieczne miejsca były przecież należycie oznakowane. W końcu oznakowano w ten sposób niemal wszystkie miejsca. Tak się w każdym razie zdawało brygadziście Martinowi, kiedy wśród rzęzenia autobusowego silnika patrzył na świat, a spod opadających powiek wszędzie widział tylko żółte i czarne paski.

Ale na czarno-żółtej mapie były też białe plamy, rzecz jasna poza terenem szkoły lub pracy. Na przykład kiedy w podstawówce szło się do kina albo do dentysty, nauczyciele musieli odprowadzać dzieci pod samą szkołę

i dopiero wtedy pozwalali im się rozejść, nawet jeśli wcześniej przechodzili dosłownie pod domem któregoś z nich. Uczeń nie mógł odłączyć się od grupy, bo dopóki nie znalazł się pod budynkiem szkoły, pedagog był za niego odpowiedzialny. Jak mawiała jedna nauczycielka: puszczę cię do domu, ty wpadniesz pod samochód, a ja pójdę za to do więzienia. Z twarzy niektórych pilnych dziewcząt, które potem też zostały nauczycielkami, odczytywał głębokie zrozumienie dla sprawy i był pewien, że gdyby wpadły pod koła ciężarówki, największy ból sprawiłyby im myśl, że towarzyszka nauczycielka pójdzie za to do więzienia. Nic takiego jednak nigdy się nie stało: dziewczęta gorliwie zakuwają teraz w liceach, wszystkie złożyły już podania na pedagogikę i według wszelkiego prawdopodobieństwa resztę życia spędzą w szkołach albo świetlicach. Oczywiście o ile wcześniej coś ich nie przejedzie albo, jak to się mówi, o ile coś się nie zesra. To ostatnie w gwarze osiedlowej oznaczało sytuację, w następstwie której z chłopaka w krótkim czasie robił się kryminalista, a z dziewczyny dziwka. Nie, im na pewno nic się nie zesrało, można natomiast żywić całkiem uzasadnione obawy, że zesrało się trochę Martinowi, który prędko nauczył się palić, przeklinać, pić piwo i włączyć się po nieoznakowanych terenach.

Szukali schronienia tam, gdzie nowa swoboda nie miała dostępu. Ciemny park nad rzeką – tak zatrutą, że mewy omijały ją szerokim łukiem – był jednym z tych

miejsc. Jeszcze niedawno popijał w nim z kolegami tanie wino jabłkowe, a teraz już przyprowadza tam Evę. Bycie w związku to czekanie. Pełne napięcia wzbieranie, narastanie i pęcznienie wszystkiego w środku, proces, który pewni ludzie potrafią nazwać tak fachowo, że aż się robi od tego niedobrze. Któregoś razu, po niekończącym się błędzeniu ciemnymi alejami, po wszystkich tych szep-tach i dotknięciach prowadzących do odkrycia, że często o wiele lepiej jest czekać, niż się doczekać, w końcu doszli na przystanek autobusu, którym miała wracać Eva, a który jakoś strasznie długo nie przyjeżdżał. Przystanęli nieopodal pod kasztanowcem i kontynuowali swoje pieszczoty, które, jak się zdawało, nigdy nie miały mieć kresu. Nawet nie zauważyli, że obserwuje ich jakiś dziadek w wojskowej bluzie – taki typ eksmilitaranta albo oficera na emeryturze. Kiedy nocny autobus w końcu przyjechał, a Martin odprowadził Evę pod same drzwi, by potem w pustce, jaka po niej została, czuć jeszcze na twarzy dotyk jej skóry i smak jej śliny, dziadek przyczłapał do niego i jak gdyby nigdy nic zapytał, czy już mu się ścięła śmietanka w spodniach. Dopiero po chwili pojął sens obleśnej uwagi dziadka, przy tym zaś uświadomił sobie z rezygnacją, że staruch ma go teraz na widelcu i że nawet jeśli on, Martin, wyzwie go od najgorszych, nawet jeśli rozwali mu tę szpiclowską gębę, nic to nie da, bo świat, w którym żył, należał właśnie do takich dziadków. Świat nowej swobody należał do wojskowych bluz, a te niestety zawsze mają rację.